

Lizbona

Andrzej Jajszczyk

4.07.2010 (niedziela)

Do Lizbony lecimy przez Monachium. W stolicy Portugalii jesteśmy ok. 13:30. Przy podchodzeniu do lądowania piękny widok na miasto i rzekę Tag. Bierzymy wspólną taksówkę z Piotrem Chołdą i jedziemy do hotelu. Przy wysiadaniu scysja z kierowcą, który ewidentnie zawyżył rachunek. Nasz hotel Turim Alameda przy Avenida Rovisco Pais 34 jest całkiem przyzwoity, z ładnym, współczesnym wystrojem wnętrza.

Lokujemy się w naszym pokoju 109 i ruszamy w kierunku polskiej ambasady. Dziś druga tura wyborów prezydenckich i chcemy tam zagłosować. Jedziemy metrem ze stacji Alameda do stacji Rossio. Wychodzimy na ładny plac i przechodzimy do przystanku tramwajowego na jego drugiej stronie. Stąd niezły widok na mury średniowiecznego zamku św. Jerzego odbitego Maurom w XII wieku. Jedziemy tramwajem nr 15 do dzielnicy Belém nad Tagiem, w zachodniej części miasta. Po drodze widzimy sporo interesujących budynków, ale nadspodziewanie dużo kamienic i pałaców jest w kiepskim stanie. W tramwaju i na zewnątrz jest potwornie gorąco. Przez piękną willową dzielnicę, pełną ambasad różnych krajów, docieramy do Ambasady RP przy Avenida das Descobertas 2, leżącej już w dzielnicy Restelo. Pracownik w recepcji mówi nam, że temperatura na zewnątrz wynosi 44°C. Na szczęście w komisji wyborczej nie ma kolejki, więc szybko możemy zakreślić i wrzucić do urny nasze głosy. Później w holu przed salą głosowania pijemy wodę i rozmawiamy z trzema sympatycznymi studentkami, które odbywają staże w Lizbonie, a także przed chwilą głosowały.

Przez dzielnicę z willami zatopionymi w pięknie kwitnących krzewach schodzimy nad brzeg rzeki do zbudowanej z wapienia wieży Belém, zwanej też wieżą św. Wincentego, która kiedyś strzegła dostępu do miasta. Wieżę zbudowano na początku XVI wieku w charakterystycznym stylu manuelińskim, czyli portugalskiej odmianie późnego gotyku. Spod wieży idziemy do znajdującej się w pobliżu restauracji, aby coś przekąsić. Później podchodzimy do monumentalnego pomnika portugalskich odkrywców, stojącego nad wodami Tagu. Wśród licznych postaci są książę Henryk Żeglarz, odkrywca Przylądka Dobrej Nadziei Bartholomeu Dias, odkrywca drogi do Indii Vasco da Gama, czy Ferdynand Magellan, którego ekspedycja po raz pierwszy opłynęła ziemię.

Kolejny punkt programu to wielkie, otwarte w 2007 roku, centrum sztuki nowoczesnej i współczesnej (*Berardo Museum of Modern and Contemporary Art*), w którego murach znajduje się kolekcja dzieł sztuki zgromadzona przez José Manuela Rodriguesa Berardo — biznesmena pochodzącego z Madery, a zawdzięczającego swój majątek interesom prowadzonym przez wiele lat, głównie w Południowej Afryce. Zespół budynków, gdyby nie to, że tchnie świeżością, wziąłbym za dzieło włoskiej architektury faszystowskiej z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Trzeba jednak przyznać, że rozsądny minimalizm na zewnątrz i wielkie funkcjonalne wnętrza robią dobre wrażenie. W holu wita nas rzeźba Caldera wisząca pod przecinającym wszystkie kondygnacje świetlikiem. Oglądamy kilka ciekawych wystaw. Rozpoczynamy od ekspozycji fotografii „German Faces” autorstwa Collier Schorr, amerykańskiej artystki, która przez dwadzieścia lat fotografowała miasteczko w południowych Niemczech. Fotografie często odnoszą się wprost do hitlerowskiej przeszłości. Basia nie jest wystawą zachwycona, ja oceniam ją pozytywnie. Następna, tym razem duża, wystawa to „Some Works to Read,” inspirowana pracami Isidore Isou, prekursora *letryzmu* (kierunku w poezji nawiązującego do dadaizmu, głoszącego, że istotą poezji są jednostki fonetyczne, które nie muszą tworzyć wyrazów) i dziełami konceptualnego kierunku *Art & Language*. Wiele prac jest intrygujących. Sporo z nich to po prostu wizualna gra znakami liter i cyfr. Są i takie instalacje jak sala biblioteki z całkiem nieprzypadkowo dobranymi książkami. Mnie rozbawiło hasło wyryte przez Braco Dimitrijevic na dużym bloku z zielonkawego kamienia: *There are no mistakes in history. The whole history is a mistake*. Muszę przyznać, że w tej zabawie znakami brakowało mi prac naszego Romana Opałki.

Najwięcej radości mamy w dwóch wielkich salach z ogromnymi, nieco jarmarcznymi, instalacjami braci z brazylijskiego São Paulo: Gustavo i Otávio Pandolfo, używających pseudonimu OSGEMEOS. Ich wystawa nosi nazwę „A Little Boat Inside a Huge Ocean” („Łódka w Wielkim Oceanie”). Bardzo kolorowe instalacje, korzystające z używanych kiedyś przedmiotów, jak głośniki, czy drzwi są w zasadzie na pograniczu kiczu, ale granicy tej chyba nie przekraczają. W pierwszej sali na wielkiej żółtej ścianie wiszą kolumny głośnikowe, też na ogół żółte, pomalowane tak by przedstawiały ludzkie twarze. Do tego dochodzą instrumenty muzyczne, na przykład gitary. Na podłodze przed ścianą stoi perkusja i elektroniczny instrument klawiszowy, z których mogą korzystać odwiedzający wystawę. Na obu ścianach drugiej sali dominują mocno zużyte drewniane drzwi. Wśród nich dziwne postaci o żółtych twarzach. Z górnej części jednej ze ścian wystają drewniane domki z ustawionymi przed nimi taboretami i krzesłem, naigrywając się z zasad grawitacji. Ale obiektem, który zrobił na nas największe wrażenie jest niewielka budka stojąca na końcu drugiej sali. Jej jedynym wyposażeniem jest drewniane łóżko z położonym na nim materacem. Ściany, sufit i podłoga budki są wyłożone lustrami. Dobór kątów między ścianami powoduje, że osoby siedzące na kanapie widzą się w zwielokrotnieniu i mają wrażenie przebywania w kręgu identycznych postaci. Przypomina mi to nieco gabinety luster z wesołych miasteczek, które pamiętam z dzieciństwa. Efekt jest tak znakomity, że z trudem wyciągam Basię ze środka. Lepiej rozumiemy też mężczyznę, na którego wyjście nie mogliśmy się doczekać przed kilkoma minutami.

Zbliża się już godzina zamknięcia muzeum, dlatego też kolejną wielką wystawę oglądamy w dużym pośpiechu. Jej tytuł, nawiązujący do *Manifestu Komunistycznego* (jest także tytułem znanej książki Marshalla Bermana poświęconej nowoczesności), brzmi: „All that is solid melts into air: The social at the Berardo Collection” i wyraźnie wskazuje na jej myśl przewodnią. Prace mają bardzo różny charakter, od drewnianej makiety wioski z umieszczonym centralnie kościołem, dziełem Juliana Opie z Wielkiej Brytanii, przez ogromne pudło proszku do „prania mózgów,” czy model raketowego okrętu podwodnego, zbudowanego z trzciny i gliny, na którym stoją figurki ludzi reprezentujących różne kultury, aż do czerwonego transparentu z napisem *Welcome to Venice: the dictatorship of the bourgeoisie eternalizes local color. „Ars Longa Vita Brevis Est”* amerykańskiej grupy The Fox, który wywołał duże zamieszanie w czasie Weneckiego Biennale w 1976 roku. Są też prace klasyków pop-artu Andy’ego Warhola i Roya Lichtensteina. Jakkolwiek na wystawie jest sporo prac intrygujących, a czasami prowokujących, jak na przykład flagi będące kombinacją flag wrogich sobie krajów Bliskiego Wschodu, trudno dopatrzeć się w całości jakiejś logiki. Wygląda na to, że ze stałej kolekcji muzeum (co zresztą sugeruje druga część tytułu wystawy) kuratorzy po prostu wybrali te prace, które w jakiś sposób kojarzyły się im ze sprawami społecznymi. A ponieważ w sztuce tego rodzaju dominują artyści identyfikujący się z lewicą, zobaczyliśmy taką właśnie mozaikę.

Wychodzimy na rozgrzany plac przed muzeum. Po drugiej stronie ulicy widać wspaniałe zespół kościoła i klasztoru Hieronimitów i przylegającego do nich nowszego budynku Narodowego Muzeum Archeologicznego. Przechodzimy na drugą stronę szerokiej ulicy i wchodzimy do kościoła zbudowanego w pierwszej połowie XVI wieku w stylu manuelskim. W pobliżu wejścia dwa sarkofagi: odkrywcy morskiej drogi do Indii Vasco da Gama i wielkiego portugalskiego poety, opisującego m.in. wyczyny wielkich żeglarzy, Luísa de Camõesa. Kościół ma trzy równe nawy oraz transept i przypomina w tym gotyckie halowe kościoły Pomorza. Ale to w zasadzie jedyne podobieństwo. Zupełnie inne są materiały. Zamiast pomorskiej cegły jest piękny wapień o złotawym odcieniu. Zamiast surowych filarów i gładkich ścian są wspaniałe rzeźbione kolumny i mnóstwo elementów dekoracyjnych. Nietypowe są też liczne i stacjonarne konfesjonały stanowiące fragment konstrukcji styku kościoła i klasztoru. W prezbiterium znajdują się klasycystyczne grobowce króla Manuela I i jego żony Marii Aragońskiej oraz króla Jana III i jego żony Katarzyny Habsburg.

Rozpoczyna się msza. We wnętrzu niewiele osób, panuje cisza, a chylące się ku zachodowi słońce, przesączaające się przez umieszczone wysoko okna, stwarza magiczny nastrój. Poruszają nas piękne portugalskie śpiewy przy akompaniamencie klasycznej

gitary. Gdy wychodzimy na zewnątrz i podziwiamy wspaniałą południowy portal świątyni, Basia mówi, że to najpiękniejszy kościół jaki widziała w życiu.

Tramwajem nr 15 wracamy do centrum. Jest kilka minut po ósmej wieczorem. W tramwaju rozmawiamy z grupą Polaków. Jeden z nich mówi, że właśnie dostał wiadomość o tym, że na podstawie wyników badań ankietowych ogłoszonych zaraz po zamknięciu lokali wyborczych wybory prezydenckie w Polsce wygrał nieznacznie Bronisław Komorowski. Przesiadamy się na metro i mocno już zmęczeni wracamy do hotelu.

5.07.2010 (poniedziałek)

Po śniadaniu idę do Centrum Kongresowego Politechniki (*Instituto Superior Técnico*) znajdującego się w pobliżu naszego hotelu, przy Av. Rovisco Pais. Odbywa się tam plenarne posiedzenie Sieci Doskonałości EuroNF. Cały dzień spędzamy w niezbyt dobrze klimatyzowanych pomieszczeniach. Dużo ważnych dyskusji o kierunkach dalszych prac i oczywiście o pieniądzach. Basia spędza dzień w mieście, koncentrując się na sklepach.

Wieczorem ruszamy spod uczelni niewielkimi autobusami na wzgórze, na którym znajduje się zamek św. Jerzego. Ma się tam odbyć bankiet dla uczestników spotkania. Jest też oczywiście i Basia. Zaczynamy od aperitif (białe wytrawne porto) na wolnym powietrzu, wśród drzew oliwnych, przed restauracją Casa do Leão. Z tego miejsca roztaczają się piękne widoki na Lizbonę. Korzystamy z Basią z tego, że jest trochę czasu i przebiegamy po murach i zaułkach średniowiecznej twierdzy.

Wchodzimy do restauracji i siadamy przy okrągłych stołach. Jesteśmy z Basią w dobrym towarzystwie, bo z nami siedzą kluczowe, i dobrze nam znane, osoby sieci EuroNF: Daniel Kofman z Paryża, Augusto Casaca z Lizbony, Phuoc Tran-Gia z Würtzburga, Kurt Tutschku oraz Günter Haring z Wiednia, a także Jean-Paul Lefèvre z Claix we Francji. Trochę żałujemy, że kolacja nie jest w portugalskim, ale francuskim stylu. Trzeba jednak przyznać, że jest znakomita. Zaczynamy od *foie gras* i dobrego białego wina. Potem indyk w świetnym sosie i czerwone wino. Na deser pyszne ciastko kokosowe. Przy stole rozmawiamy o projekcie, ale też o Europie i o kryzysie gospodarczym. Padają też pytania o sytuację w Polsce.

6.07.2010 (wtorek)

Z Michałem Pióro, Piotrem Chołdą i Luigim Frattą z Mediolanu jedziemy do Belém. Wchodzimy do kościoła Hieronimitów (Św. Marii). Niestety w środku wielki i głośny tłum turystów. Szybko wychodzimy i decydujemy się na wizytę w *Berardo Museum*. Jakkolwiek jesteśmy tu ponownie, z ogromną przyjemnością przechodzimy przez kolejne sale, mogąc się teraz skupić na interesujących nas pracach.

Wracamy do klasztoru i tym razem, po kupieniu biletów wchodzimy do jego wnętrza. Duże wrażenie robi piękny, otoczony krużgankami wirydarz. Zaglądamy do kilku pomieszczeń, w tym wielkiego refektarza, a także sali, w której szczegółowo opisano historię klasztoru na tle historii Portugalii i Świata. Co ciekawe, na terenie klasztoru podpisano w 2007 roku traktat reformujący Unię Europejską, odtąd nazywany *Traktatem Lizbońskim*. Po wyjściu z klasztoru idziemy do słynnej cukierni *Pastéis de Belém*, przez wielu uważana za najlepszą ciastkarnię Europy. Jemy wspaniałą tutejszą specjalność, czyli babeczki z kremem (*Ciasteczka z Belém*) i pijemy dobrą kawę. Potem jeszcze zwiedzanie wieży Belém, w której kiedyś więziono przez dwa miesiące także generała Józefa Bema, i powrót tramwajem do centrum.

Tramwajem linowym jedziemy do Bairro Alto, starej i pięknie położonej dzielnicy, o nie najlepszej reputacji. Idziemy w górę ulicą de la Rosa, wstępujemy do małego lokaliku na piwo i z platformy widokowej na skraju dzielnicy Chiado podziwiamy piękną panoramę miasta. Wchodzimy do jezuickiego kościoła św. Rocha, zbudowanego w XVI wieku. Później przechodzimy przez Chiado, docieramy do placu Camõesa i dalej do placu Pedro IV. Tu zachodzimy do absolutnie niezwykłego kościoła Dominikanów, uważanego przez niektórych za szczęśliwy, a przez innych za przeklęty z powodu przetrwania licznych pożarów i trzęsień ziemi. Wielkie wnętrza z kolumnami niosącymi wyraźne ślady wielkiego trzęsienia ziemi z 1755 roku robi na mnie ogromne wrażenie.

Wieczorem idziemy z Piotrem na kolację do bardzo eleganckiej restauracji *Sr. Vinho* przy Rua do meio à Lapa, którą polecił nam Augusto Casaca. Główną atrakcją, poza

potrawami i winami, są występy artystów fado. Przy znakomitym akompaniamencie na gitarze i lutni (?), śpiewają, pojedynczo, trzy kobiety i mężczyzna. Trzeba przyznać, że są rewelacyjni. Mniej entuzjastycznie patrzymy natomiast na rachunek, gdy po północy opuszczamy lokal. Malowniczymi uliczkami dochodzimy do stacji metra Cais do Sodré i ostatnim pociągiem, tuż przed 1:00 w nocy, wracamy do hotelu.

7.07.2010 (środa)

Dziś zwiedzanie rozpoczynamy od kościoła św. Marii Magdaleny, powstałego w XII wieku, ale wielokrotnie przebudowywanego po licznych kataklizmach. Później wchodzimy do niewielkiego kościoła św. Antoniego stojącego, według tradycji na miejscu domu, w którym urodził się w 1195 roku jego patron. Schodzimy do krypty z kaplicą w miejscu urodzenia. W niej tablica upamiętniająca pobyt Jana Pawła II. Św. Antoni to ulubiony święty Basi. Trochę się z niej śmieję, że traktuje świętych zbyt praktycznie. Niezrażona tym Basia zapala osiem lampek pod portretem świętego.

Tuż obok wielka romańska katedra (*Santa Maria Maior de Lisboa*) pochodząca z XII wieku. W tym miejscu znajdował się wcześniej główny meczet Maurów. Katedra robi wrażenie swoją wielkością, ale poza tym nie jest zachwycająca. Wąskimi uliczkami rozpoczynamy drogę w dół. Zachodzimy do niewielkiej sympatycznej restauracyjki *Floresta das Escadinhas* przy ulicy Santa Justa 3. Co charakterystyczne, poza nami, nie ma tu turystów, tylko miejscowi. Już później dowiadujemy się, że podają tu najlepsze sardynki w Lizbonie. Zamawiamy oczywiście sardynki i sałatę, a także białe wino. Pycha!

W centrum zaglądamy do sklepów z butami, a potem historyczną windą z początków XX wieku wjeżdżamy pod ruiny gotyckiego *Convento do Carmo*, smutnej pamiętce wielkiego trzęsienia ziemi z XVIII wieku. Krążymy po Chiado, szukając dobrego porto, a także zachodzimy do kościoła *da Encarnação* i podziwiamy jego piękne wnętrze. Zabytkowym tramwajem linowym zjeżdżamy do Av. Liberdade, a stamtąd docieramy do stacji metra Rossio i dalej do naszego hotelu.

Wieczorem dojeżdżamy autobusem 720 do zbudowanej pod koniec XVIII wieku klasycystycznej (ale i z elementami neobaroku) bazyliki Estrela obok pięknego parku o tej samej nazwie. Niestety kościół jest już zamknięty. Później szaleńcza jazda po stromych ulicach tramwajem nr 28, aż do placu Camõesa. Ulicą da Rosa idziemy do restauracji *O Forcado*, którą już wcześniej upatrzyła sobie Basia. Jem bardzo smaczny „stek po portugalsku” ze świetnym czerwonym winem z najlepszego regionu Alentejo. Basia je rybę — granika (ang. *grouper*). Tu też mamy koncert fado. Niestety sporo słabszy niż wczoraj. Oprócz tego ludowe tańce, które wzbudzają entuzjazm chińskiej wycieczki. Grają też dwaj gitarzyści. Wychodzimy ok. 22:15 i robimy sobie spacer nocnymi ulicami miasta. Dochodzimy do monumentalnego Praça do Comércio nad rzeką Tag. Plac, w 1908 roku, był miejscem zabójstwa przedostatniego króla Portugalii Karola I. Później pełnymi ludzi ulicami dochodzimy do stacji metra Rossio i jedziemy do hotelu. Następnego dnia, przez Frankfurt, wracamy do Krakowa.